



Zbigniew Szymaniak

część I z II

Sygnatura notacji: **N0013**

Data urodzenia: **17.07.1949 r.**

Data nagrania: **28.06.2007 r.**

Miejsce nagrania: **IPN, Warszawa, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Anna Teresa Pietraszek**

Czas nagrania: **część I: 59 min, część II: 59 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Zbigniew Szymaniak: Zbigniew Szymaniak się nazywam. Urodziłem się 17 lipca, 1949 roku, czyli pięć lat po wojnie, albo nawet cztery.

Anna Pietraszek: Przez pięć lat był pan operatorem osobistym prezydenta Wałęsy. Jak to się stało, że to stanowisko pan objął, jak do tego doszło? Skąd się pan wziął?

Zbigniew Szymaniak: To kara boska to była, ponieważ tak się zdarzyło, że w tym czasie pracowałem w telewizji jako operator dźwięku, absolwent zresztą wydziału elektrofonii Politechniki Gdańskiej i było mi dobrze. Ale na nieszczęście swoje byłem operatorem dźwięku, osobistym, pana Krzysztofa Kalukina i na zlecenie pana Terleckiego pojechaliśmy zrealizować materiał pod tytułem: „Koronacja prezydenta Wałęsy”. Pojechaliśmy na jedną noc, zostałem tam pięć lat. Jak to się stało? Po prostu tak się spodobała nasza obecność na planie, że zaproponowano nam jeszcze do końca roku. Pod koniec roku okazało się, że konsultacje będą trwały z różnymi ważnymi osobami, jak pan Geremek, jak pan Mazowiecki. W związku z tym przetrwaliśmy jeszcze luty, jeszcze marzec, potem... Cały czas trwały poszukiwania ekipy warszawskiej, ale Warszawiaczy zorientowali się, że z tego kokosów nie będzie. Bo to w ogóle jakaś dziwna sprawa. Zresztą część była obrażona na to, że jakiś tam elektryk z Gdańska został prezydentem i obalił ich wspaniałego premiera, i kandydata. W związku z tym wszystko runęło i trzeba było kontynuować dzieło. Więc już minął trzeci miesiąc naszej obecności tam na planie, wtedy okazało się, że kolega Krzysztof jest zbyt poważnym operatorem, żeby realizować takie zdjęcia od spotkania do spotkania przy okrągłym stoliku. Rączka i za drzwi. W związku z tym ostało się dwóch ludzi. Ja i kolega kierowca, który tam był takim asystentem, pomagał nam. Padło pytanie, czy mógłbym

tak w ciągu tygodnia pracować i realizować te wszystkie takie mniej ważne rzeczy, a tak od ważnych wyjazdów, to już by byli operatorzy. Ale okazało się, że to jest zbyt drogie, trochę bez sensu, potem się okazało, że ja też mogę to zrobić, że potrafię jakby. I w tym momencie zapadła decyzja, że zostaję w Belwederze jako operator. Cały czas, przypominam, trwały poszukiwania poważnej ekipy, ale jak okazało się, to wszystko przekraczało koszty, na jakie stać było kancelarię. To był zresztą przepiękny okres, ponieważ Wałęsa przekonywał się, że jest prezydentem kraju, a nie jest prezydentem Warszawy, na przykład. Demokracja szalała, czyli okazywało się, że już można być prezydentem, ale niekoniecznie sekretarzem. A tak było, pani Aniu. Więc pan prezydent na przykład jechał na spotkanie z panem Pietrzakiem, który tam się żalił, dowalając mu oczywiście z estrady, żalił się, że nie ma pomieszczenia. Wałęsa oczywiście poklepał go po plecach i powiedział: „No, dać. Dać pomieszczenie”. Kolega Andrzej Kozakiewicz, wtedy tam taki od spraw ekonomicznych oczywiście dać, to dać. Okazało się, że z kolei unijny, znaczy nie mylimy tego z Unią teraz Europejską, ale unijny prezydent Warszawy powiedział, że on tu jest prezydentem Warszawy i na tym terenie to prezydent państwa, to w zasadzie mógłby nawet pytać o prawo przejazdu ulicami. W każdym razie skończyło się na tym, nie pierwszy raz zresztą, że zaczęliśmy się uczyć tej demokracji. Potem był taki moment, kiedy pan prezydent wymyślił, że trzeba reprivatyzować. Było takie pomieszczenie tam niedaleko Belwederu, bodajże, jak się nazywa ta ulica, czy Klonowa? Nie, Klonowa to był hotel, ale tam ta prowadząca przy jednostce nadwiślańskich, tam, gdzie Rada Państwa miała swoją tam siedzibę. Znaczący nie siedzibę, tylko tam nocował bodajże, jak się nazywał ten?

Głos: De Gaulle.

Zbigniew Szymaniak: Nie, nie. De Gaulle to nie. To był z Francji taki jeden. Nie, nie. Był nie premierem, tylko przewodniczącym Rady Państwa, takim odwiecznym u nas.

Głos: Jabłoński.

Zbigniew Szymaniak: Jabłoński. Więc właśnie. Kolega starszy, to pamięta. Więc pan Jabłoński był przewodniczącym Rady Państwa i tam sobie pomieszkiwał, tam do Belwederu miał parę kroków. Okazało się, że nagle biegniemy z kamerą, ja biegnę osobiście, żeby pokazać, jak tam pan Kozakiewicz wspomniany już, w imieniu pana prezydenta, rozmawia z rodzinami tych, którzy tam kiedyś mieszkali i którym zabrano te wille. I przekazano państwu. A teraz Wałęsa mówi: „Oddać”. Więc oddajemy panom, ale panowie tam jacyś tacy dziwni. No, patrzą na to jak na takie kukułcze jajo, nie wiedzą, co z tym zrobić, już są dawno urzędzeni w życiu, a tu nagle taki kłopot, taki klops, nie? Więc ktoś wpadł na pomysł, że kancelaria prezydenta wykupi to za jakieś 350, może 500 tysięcy dolarów na własność, bo czemu nie? Taki obiekt w centrum Warszawy, niedaleko i blisko, i w ogóle. Wszystkim się wydawało to bardzo dużo. Dolary to miały swoją magiczną moc. Ale po pewnym czasie okazało się, bardzo szybko, że jakiś sprytny adwokat przypomniał tym państwu, że to przecież jakie tam 300 tysięcy dolarów? 3 miliony dolarów to jest to. I na tym stanęło, że kolejną rzecz, którą pan prezydent jakby sobie zamarzył, żeby pokazać społeczeństwu, że tak szybko działa, spaliła na panewce. Oddano oczywiście obiekt za darmo tej rodzinie. Ta rodzina nie odsprzedała go Wałęsie, tylko odsprzedała jakimś tam, nie wiem, Business Center Club, plus jacyś tam zaczęli się skośnoocy kręcić. I tak się zakończyła przygoda z reprivatyzacją kolejny raz. Tak że tak to wyglądało. W tym czasie realizowano film roczny, ja byłem na takim urlopie bezpłatnym z telewizji, pierwotnie jeszcze na zaległych urlopiach i tak funkcjonowałem na umowie zlecenie.

Okazało się, że trzeba zrealizować film, który realizował pan Engler. Roczny, o panu prezydencie. Rok prezydentury. Moja pomoc okazała się nieoceniana, ponieważ nie wiadomo dlaczego, charakteryzuję się słabą pamięcią, ale wtedy akurat, w tych materiałach z roku pamiętałem prawie wszystko. Potrafiłem znaleźć przeróżne takie gagi, różne momenty, typu na przykład wymyślił pan reżyser, że pan prezydent patrzy bez przerwy na zegarek, więc okazało się, że tych momentów jest sporo. Tu biegnie, tam biegnie, tu siedzi, tam spogląda. Tu coś się dzieje. I tak powstał film o rocznej prezydenturze, ale tak naprawdę operatora nie było. Byłem ja. Wtedy na pytanie, co ze mną zrobić, kolega Engler powiedział: „Ależ skąd? Takiego taniego operatora to nigdzie nie znajdziecie. Chłopak się uczy i już sobie bardzo dobrze radzi, więc tak ma być, to tak będzie”. I tak zaproponowano mi stałą współpracę. Pracowałem tak, mając urlop bezpłatny z telewizji, około roku. Wtedy okazało się, że nikt mi nie płaci ZUS-u. Ani telewizja, ani kancelaria. Kancelaria z resztą zrobiła numer, bo w pewnym momencie zaczęła mi wypisywać miesięczne umowy. Ja tylko wypisywałem rachunek co miesiąc. Okazało się, że to był podstęp, bo to właśnie było to, co stało na przeszkodzie, żeby mnie zatrudnić na stałe. Po prostu miesiąc, nowa umowa, miesiąc, nowa umowa. A ja szczęśliwy, że tak blisko słońeczka naszego jestem i to tak sobie funkcjonowałem. Aż przyszedł moment, kiedy Andrzej Drzycimski, rzecznik prasowy pana prezydenta, człowiek, który tłumaczył z wąskiego na polskie, wszystko, co pan prezydent miał na myśli, kiedy to mówił, zaproponował mi właśnie taką zasadę, że albo wracam do Gdańska, bo nikt mi nic nie płaci, albo jest taka szansa, żebym zarabiał wreszcie jakieś tam pieniądze, jak na etacie. Ponieważ to były takie same pieniądze, jak zarabiałem na zlecenie, to przyjąłem tę propozycję. Tak z radością. Ja byłem zawsze zwolennikiem pana prezydenta Wałęsy i byłem zaszczycony tym, że mogę dla niego pracować. Zresztą był to też taki moment, jak przypominałem, byłem przedtem operatorem dźwięku, że jakby zmieniałem kwalifikacje. W telewizji, do tej pory tak telewizja funkcjonowała, że tych operatorów skulnych, to było mało. Wszyscy przechodzili jakąś drogę asystentury, gdzieś zostawali operatorami po wielu latach. Często bardzo dobrymi. Myślę sobie, może ja będę co najmniej dobry, nie wiem. W każdym razie przyjąłem tę propozycję i było mi miło, że mogę pracować w tak zaszczytnym miejscu. Ale skończyło się. W Gdańsku się wziąłem z powodu moich rodziców, którzy postanowili stworzyć dziecko, a narodziło się ono w Gdańsku. Znaczący mój ojciec pochodził z Warszawy. Znaczący rodzina ojca przyjechała z Warszawy, ale jak się domyślam, bo zgodnie z tym, co tutaj słyszeliśmy na wykładzie, to drugie pokolenie dopiero się interesuje tym, co się dzieje. Ja zacząłem się teraz interesować, bo nie mam dzieci, to na starość już zacząłem się nagle interesować, jak już nie mam rodziców, skąd oni pochodzą, skąd to wszystko, a tak przedtem rzeczywiście dokładnie nie interesowałem się tym zupełnie. Wiedziałem tylko, że przyjechali z Warszawy, że moja mama była z Nowej Soli, przyjechała z Koźuchowa, że Koźuchów to tam jakaś była miejscowość, w której byli Koźuchowscy, a Koźuchowscy to była moja mama. A z tego, co wiem, to rodzina to tak, jak to w Polsce tradycyjnie bywa, wschód gdzieś, jakiś tam. Teraz jestem w trakcie rozpracowywania tej tajemnicy rodzinnej. Gdzieś to tak przez Ukrainę ciągnie się tam, nie wiem, ale hen. Ja jestem takim Gdańszczaninem urodzonym w Gdańsku, ale z korzeniami zupełnie nie gdańskimi. Ani nie jestem człowiekiem... Ani Kaszubem. No, nikim nie jestem tutaj, w niczym nie jestem związany z Gdańskiem. Jestem po prostu człowiekiem z głębi Polski, a rodzina jeszcze dalej prawdopodobnie tak funkcjonowała, jak to w Polsce bywa.

Anna Pietraszek: I wychowałeś się, mieszkałeś...

Zbigniew Szymaniak: Wychowałem się w Gdańsku. Mieszkałem zawsze w tym samym miejscu, za wyjątkiem wtedy, kiedy z żoną jeszcze kilkanaście lat u niej, naprzeciwko Sołdka nad kanałem, nad Motławą. Mieszkałem w Gdańsku

zawsze, we Wrzeszczu, na Sienkiewicza 2, mieszkania 6. Podstawowa szkoła numer 17, I Liceum, bardzo ważne liceum, bo obok tego liceum teraz stoją dumnie trzy krzyże. Tak że to jest jakiś dla mnie zaszczyt. Niezasłużony oczywiście.

Głos: Który rocznik?

Zbigniew Szymaniak: Rocznik to ja jestem całkiem taki przyzwoity, czyli 1949. Taki przełom w życiu człowieka. 58 lat obecnie będzie niedługo, to nie wiadomo, co o tym myśleć. Staram się nie myśleć, że 58 to dużo. Muszą państwo sami poznać, jak wygląda człowiek, który ma 58 lat. I co?

Głos:

Czyli matura w '68 roku.

Zbigniew Szymaniak: Maturę mam, tak, oczywiście. Matura w 1968 roku. W 1973 roku skończyłem elektrofonię, czyli specjalizację Politechniki Gdańskiej, elektroniki. Potem rozpocząłem pracę w telewizji gdańskiej jako operator dźwięku. Znaczą trochę tak na siłę, ponieważ chciano ze mnie zrobić inżyniera takiego jak byłem, ale ponieważ ja byłem takim inżynierem z przymrużeniem oka, to znaczą nie interesowało mnie to i uciekałem od tego, jak mogłem, byłem też muzykiem, więc tutaj już czułem bliskość mojego powołania. Jednocześnie grałem w klubie studenckim, grałem taki jazz tradycyjny, grałem trochę w Wałach Jagiellońskich. Ale cały czas równolegle pracowałem w telewizji. Jeszcze wtedy to był okres, epoka filmu na celulooidzie. Więc bardzo fajna przygoda, a potem, kiedy przyszła elektronika, która zresztą wyzwoliła mnie z tego fachu i pozwoliła mi nagle zostać operatorem, to jednocześnie jakby ten zawód, jakby to wszystko, jakby gorszy pieniądź wyparł dobry pieniądź. Taśma to było coś, co podziwiałem, podziwiałem operatorów, podziwiałem ich za to, że muszą mieć wyobraźnię, że muszą mieć jakąś wiedzę, że to wszystko potem dopiero po wywołaniu na montażu widać, jak efekty, a teraz to jest sprawa... Zresztą rozmawialiśmy dzisiaj o tym w zasadzie wolontariatu, można powiedzieć.

Anna Pietraszek: Czy masz jakieś w życiorysie odniesienia, na przykład do 1968 roku?

Zbigniew Szymaniak: 1968 rok przeżyłem, to fakt. W 1968 roku, będąc chyba jeszcze studentem, po raz pierwszy zetknąłem się z taką sytuacją, że w ogóle ciekawa sprawa była, tak mogę nadmienić, bo w tym czasie akurat mój ojciec, dwa lata później zmarł, był ciężko chory. Mój ojciec był taką osobą, był zastępcą naczelnika wydziału rzemiosł różnych w mieście Gdańsku, w urzędzie miejskim. Wydawać by się mogła taka wysoka funkcja, ale dlaczego zastępcą? Zastępcą był dlatego, że przed wojną był w PPS-ie, a po wojnie nie chciał się zapisać do Zjednoczonej Partii. W związku z tym, no, co? Co można było z takim człowiekiem zrobić? Można, jeżeli był fachowcem, to można go było po prostu umieścić jako wice, a naczelnik z żoną i psem pekińczykiem tam regularnie odwiedzali salony czy chodzili, a on robił tę czarną robotę. Była to bardzo specyficzna specjalizacja, specyficzny wydział, mianowicie rzemiosło. A rzemiosło to było coś takiego, że można było powiedzieć, przywaciarze. Ludzie lodziarze, piekarze, ślusarze. Mnóstwo rzeczy. Ja, jako dziecko, z ojcem chodziłem od warsztatu do warsztatu, jak to się mówi, i przyglądałem się pracy tych ludzi. Zresztą na samym, własnym podwórku miałem człowieka, który piętro niżej mieszkał, a tutaj stała piekarnia wspaniała. Były cudowne zapachy, konie przywoziły mąkę, wywoziły chleb, wróbelki latały, ćwierkały.

Zapachy roznosiły bardzo różne, ale wszystkie piękne, niezależnie od tego, czy pochodziły od konia, czy od chleba. W każdym razie było cudownie, pięknie i młodo. Ale były takie sytuacje śmieszne, kiedy już wtedy dostrzegałem takie nienormalności. Jakieś takie paradoksy tego układu. Ojciec to ojciec. Tam zawsze wysłuchiwał od mamy tylko, że pan Jasiu to, to, to i tamto. „Widzisz, teraz jest szefem transportu w Gdańsku”. Bo tam przy brydżu się spotykali. „A ty ciągle, a ty taki, a ty śmaki”. Jestem podobny do niego, czyli tak samo nieudany praktycznie życiowo, ale generalnie był cudownym człowiekiem. I odwiedzając te warsztaty widziałem absurdy. Ten człowiek, który miał na naszym podwórku piekarnię, to musiał w pewnym momencie jeździć do odległej dzielnicy Gdańska, do Nowego Portu, gdzieś tam tramwajem albo o 4:00 rano, czy o 3:00 w nocy, bo tam mógł być kierownikiem piekarni, ale nie mógł być kierownikiem piekarni pod własnym domem. Bo za blisko, bo to kiedyś była jego piekarnia. W ogóle jakieś bzdury absurdalne. I to gdzieś tak się kodowało w głowie. Potem, będąc studentem właśnie przyszedł moment 1968 roku. Pamiętam, kiedy, ja wtedy byłem bardzo zakochany, bo zawsze byłem bardzo zakochany przez parę lat. Zawsze parę lat. Zawsze tak niewinnie. Więc zakochany byłem strasznie, więc tak nic mnie nie interesowało. Nawet nauka za bardzo. Uczyłem się dobrze, ale to nie było ważne. W każdym razie patrzę pewnego razu, stoczniovcy przychodzą pod... Znaczą nie stoczniovcy, wtedy studenci. Właśnie to 1968 rok. Popierali tam tę sytuację warszawską, więc zaczęło się na uczelni palenie jakichś tam gazet, czy książek tam pod Politechniką, pod głównym gmachem. Pamiętam zamknięte bramy. Ja taki trochę oszołomiony tym wszystkim. W pewnym momencie zaproponowano nam wyjście. Coś tam powiedziano, że jak wyjdziemy, to będzie dobrze. Był taki moment, kiedy próbowaliśmy tam zaapelować do stoczniovców, to oni tam to wszystko jakby, zdystansowali się od tego. Łatwo było ludziom pracy powiedzieć, że to jakaś inteligencja, jakieś tam fantasmagorie ludzi, którzy po prostu są tacy zbyt intelektualni rozwinięci i nie wiadomo, o co im chodzi przecież, a przecież powinno chodzić o pieniądze, o lud pracy, miast i wsi, i tak dalej. W każdym razie, kiedy wyszliśmy z tej uczelni, żeby pójść do domu, w tym momencie nagle z bocznej uliczki wyjechały jakieś suki, zrobiło się strasznie nieprzyjemnie i wtedy po raz pierwszy przeżyłem taki prawdziwy strach, bo tak to jeszcze tak w tłumie, jak się stoi za bramą, a uczelnia jest miejscem takim eksterytorialnym, znaczą przynajmniej takim chronionym prawem, to tam nie można było wkroczyć i wejść. To jeszcze wtedy szanowano. Przynajmniej oficjalnie. Więc szybko, biegiem z powrotem. Porozrywałem sobie wtedy po raz pierwszy kurtkę i wiedziałem, że tu nie ma żartów. Potem, kiedy ten okres minął, a przez 1970 rok z kolei, to wtedy przyszli do nas robotnicy tam, pod tę końcową uliczkę Politechniki, jak się wyjeżdża. I wtedy myśmy nie byli za bardzo gotowi, żeby tam wyjść do nich i się z nimi połączyć. Tak że to były takie tragiczne sploty, że raz przyszła koza do woza, innym razem wóz do kozy albo też jak to tam było w bajce, bodajże żuraw i... Co tam było jeszcze? Bocian, żuraw, coś takiego. Czy czapla też chodziła do żurawia i odwrotnie. W każdym razie tak się mijaliśmy. Potem jako muzyk grałem w zespole Politechniki Gdańskiej. Pamiętam, że graliśmy na Długiej w takim kabarecie. To były takie dni Gdańska jakieś, to sierpniowe jakieś były tam dni. I zaczęło się dziać w Stoczni to, co się zaczęło. Wszyscy byliśmy podnieceni. Bardzo to popieraliśmy. Co chwilę, jak ktoś wpadał i mówił, co nowego tam w Stoczni, że jakiś Wałęsa, że ktoś tam, że ktoś tam. Więc to był cudowny okres, ponieważ on jakby wyzwalał w nas takie emocje i takie... Ja wtedy byłem na takim etapie, że szalenie... Denerwowało mnie to, że jest na przykład drożyzna, albo że czegoś mało w sklepie. Najbardziej zaczęły mnie denerwować, dojrzałem do tego, że najbardziej denerwowało mnie to, że ktoś mi wmawia, że są wolne wybory, a przecież nie jestem głupi. To obraża moją inteligencję. Przecież ja widzę, że nie są wolne wybory, to jak są wolne wybory? Nie są wolne wybory. I tak cały czas denerwowało mnie to, że w telewizji oglądałem te ciągłe klaskanie rączkami i takie, które zresztą niestety ostatnio też widziałem w telewizji, więc mnie trochę to ciarki przeszły po plecach, że tak jakby ciągle nie możemy się

oduczyć tego, że tak łatwo nas wytresować albo ustawić. Było to wielkie przeżycie. Tak że 1980 rok był wspaniały, 1981 rok to brat, który wyjechał do Niemiec, do kolegi do pracy i został już na stałe, ponieważ widział, co się święci, a stan wojenny to już przypieczętował tę decyzję i do tej pory mam brata nie w Wehrmachcie wprawdzie, ale przynajmniej w Hamburgu.

Głos: Czy moglibyśmy wrócić do 1968 roku jeszcze?

Zbigniew Szymaniak: Moglibyśmy, zawsze można.

Głos: Czyli tak, w roku akademickim 1967-1968 był pan na pierwszym roku.

Zbigniew Szymaniak: Na pierwszym roku byłem, tak jest.

Głos: Czy jeżeli chodzi o wiosnę i protest, to pamięta pan tylko te wydarzenia czy jeszcze coś więcej się działo? Że tylko studenci uczestniczyli w tych wypadkach.

Zbigniew Szymaniak: Ja pamiętam tylko to od strony studentów. Ja wtedy, mówię, byłem taki, że ja, uczelnia, ponieważ tak się pechowo złożyło, że z domu... Znaczący szczęśliwie dla mnie, że z domu do uczelni miałem trzy minuty drogi, w związku z tym nigdzie nie trafiałem. Nigdzie indziej. Zresztą ja tak specjalnie nie interesowałem się polityką. Miałem takie wyniesione dobre podstawy z domu, ale też nie było tak... Moja mama była taka trochę, osobą taką troszeczkę tchórzliwą, więc ona tam by dopilnowała, żeby tam syn nie szalał. A ja jeszcze byłem za wcześnie, zbyt wcześnie na tym etapie. Później może bym się zainteresował, ale nie. Ja tutaj bohatera nie grałem. Nie byłem. Najważniejsze moje bohaterstwo to początek stanu wojennego i nagle kolega w artykule Dziennika Bałtyckiego, kolega, taki dziennikarz, muzyk, z którym grałem, w takim magazynie „Echa Muzyki Młodzieżowej” napisał, czy jakoś to się tak nazywało, „Wrona skona”. Słynne zdanie. Akapity, wszystkie litery duże wytłuszczone składały się w słowo „Wrona skona”. Przeszedłem do telewizji. Tam specjalnie dziennika nie kupowałem ani nie czytałem i nagle słyszę, że kolega coś takiego, taki numer wywinął. A ponieważ mój były, już nieżyjący od niedługo czasu szef, powiedział mi o tym, wyczułem, że chciałby jakby coś za moją przyczyną wygrać. To znaczący być może teraz się domyślam, że może to były jakieś kontakty jego z różnymi ludźmi czy jakieś naciski, żeby on się z drugiej strony przeze mnie dowiedział, o co tu chodzi. W każdym razie najpierw pojechaliśmy do tego kolegi, Staszka Danielewicza. Stasiu zawsze miał wódeczkę. Znaczący miał wszystko. Nie mówię, żeby handlował. To nie o to chodzi. Stan wojenny, nie można było, ale Staszek mówi: „Jakbyś tam chciał, to ja tam mam”. A kolega, mój szef był człowiekiem, który bardzo lubił takie sytuacje. W związku z tym mówi: „Zbyszek, ja cię zawiozę. Skocz, kup”. Skoczyłem, kupiłem. „Ale spytaj się, spytaj się”. To pytam się: „Stasiu, napisałeś «Wrona skona»?”, on mówi: „- Co? - No, «Wrona skona»”. A tak patrzy mi w oczy, widzę, że oczka mu się trochę śmieją, to jedziemy razem w ten teatr. Ja mówię: „No, w gazecie jest «Wrona skona»”. A on takie: „Tak? No, nie. No, nie”. To domyśliłem się, że napisał, ale wracam i mówię... Wracam z tą wódeczką i tak jedziemy, on mówi: „No i co, i co?”. Ja mówię: „- Co, i co? - No, pytałeś się o to?”, Ja mówię: „- Tak, spytałem się. - No i co? - No, zdziwił się. - Zdziwił się?”. Ja mówię: „No, tak. Zdziwił się”. Więc od razu wyczułem, że to są takie próby wywiedzenia się. Pierwsza próba. Potem doszło do procesu. Staszka aresztowano oczywiście. Przesiedział 11

miesiący w areszcie. Zresztą taka anegdota przy okazji. Ja grałem wtedy w takim zespole Seaside Dixieland. Byliśmy takim nowym zespołem jazzowym, tradycyjnym i nasz lokal, w którym graliśmy mieścił się z 200 metrów od aresztu śledczego, a szef zespołu, puzonista, obecnie grający u Jurka Detki, był, przypomniano sobie, że był kiedyś przecież w ROMO bodajże i że służbę zastępczą wojskową odbywał w areszcie. Więc go wzięli na trzy miesiące w kamasze, wsadzili w budkę strażniczą i tam stał, i pilnował tego Staszka, który do nas przychodził i grał z nim razem, więc kompletna anegdota, bo razem graliśmy, razem się znaliśmy. On tam słyszał po nocach, jak my tam hałasujemy. Stał, patrzył w drugi kąt, a tam na dole w celi siedział tamten biedny Staszek. Tak że kompletna paranoja i normalnie pisarz by tego nie wymyślił, a jakby wymyślił, to powiedzieliby, że fantazjuje. W każdym razie pan... Taka to była przygoda z tym. A jeszcze przed sądem zostałem przez Staszka powołany jako świadek obrony. Jedyny, najważniejszy. Miałem świadczyć o tym, że on ode mnie się dowiedział dopiero o tym, co napisał. Więc zostałem... Pierwsza, jeszcze dodatkowa taka, ciągle anegdoty za mną idą. Poszedłem do jego adwokata, który mnie ustawiał przed procesem. Pyta się: „Co pan wie?”, ja mówię: „- To samo, co powiedziałem. Tam mi Staszek powiedział. - I pan w to wierzy?”, pyta się prawnik, a ja mówię: „No, wie pan, tak średnio”, a on mówi: „To niedobrze, to niedobrze, wie pan. Wszystko jest możliwe. Przed wojną był taki mecenas w Warszawie, który ja grał w brydża, świetny brydżysta. Jak dostał 13 pików, to zaliczył trzy szlem bez atutu, proszę pana. I leżał bez siedmiu”. Ponieważ byłem też brydżystą w tym czasie, to pojąłem, że jak bardzo się myślę i rzeczywiście takie możliwości teoretycznie istnieją. Od tej pory gram w totolotka, ale bez skutku. W każdym razie przed sądem Marynarki Wojennej, który zasłynął z bardzo srogich wyroków, zeznawałem jako świadek. I tak z trzy razy tam stanąłem. Może dwa. Ale charakterystyczne, że sędzia z rozpędu odzywał się do mnie per oskarżony. Co tam zrywał się natychmiast obrońca i mówił: „- Bardzo przepraszam, przypominam Wysokiemu Sądowi, że to jest świadek. - Aha. No, dobrze. Nieważne”. I tak szedł ten proces. I wtedy można powiedzieć, że znalazły się podstawy wreszcie dla mnie, żeby się ewentualnie ubiegać jako świadek poszkodowany przed Instytutem Pamięci Narodowej, bo się okazało, że paszportu nie mogę dostać, o czym tam nie myślałem przedtem. Były dziesiątki pretekstów, ale główny na pewno był taki, że brat uciekł, a ja jeszcze zeznaję i nie chcę iść... To źle zeznaję, prawda? Tak się skończyła moja przygoda. Moje największe poświęcenie w tym wszystkim. Zresztą ja pamiętam, ty, Aniu, na pewno pamiętasz Zbyszka Ozimka, prawda? Zbyszek Ozimek, kierownik produkcji w telewizji warszawskiej obecnie, był wtedy moim szefem. Był fajnym człowiekiem, aczkolwiek trochę mu tam pewne rzeczy szkodziły, ale generalnie był sympatyczny i pamiętam, że kiedy były jakieś strajki solidarnościowe albo coś, a my tam bez przerwy w jakieś karty graliśmy, polewaliśmy sobie, w tych opaskach siedzimy. On tak przychodzi: „- Kto strajkuje dzisiaj? - My. - Siedzicie. Kto nie strajkuje, do roboty”. I w ten sposób ratował życie, bo nie stawaliśmy przed dylematem, że ja nagle staję okoniem, rozdieram szaty i mówię: „Nie pojedę”, ryzykując utratę pracy. Po prostu nie wiem, jakbym się zachował. Być może bym zachował się, jak to mówią operatorzy obecnie, profesjonalnie, czyli wsiałbym i pojechał, bo takie słowo panuje, że czasami widzimy coś niekoniecznie moralnego, ale zawsze nam się wmawia, że profesjonalista to ma zrobić i koniec, nie dyskutować. To jest chyba troszkę mylna droga, ale cóż. W tamtym czasie nie było innych telewizji, nie było gdzie uciekać, więc to było bardzo różnie.

Głos: Czyli też podobnie przebiegał pana udział w tym wszystkim, co się działo, jak w roku 1968. Czyli przeszło troszeczkę obok.

Zbigniew Szymaniak: Znaczą obok to może nie, tylko, że... Bo wtedy to już rzeczywiście bywało tak. Myśmy...

Jeszcze też przypominam sobie sytuację. Graliśmy jako zespół w teatrze, w sztuce Bułhakowa, „Szkarałatna wyspa”.

Anna Pietraszek: Kiedy?

Zbigniew Szymaniak: To było... Mieliśmy 13. właśnie występować. 13 grudnia mieliśmy występować w teatrze. Wieczorem miał być występ „Szkarałatnej wyspy”.

Anna Pietraszek: Którego roku?

Zbigniew Szymaniak: 1981 roku, jak stan wojenny wybuchł. Pamiętam, że przyszedłem na próbę rano, bo tam niedaleko mieszkałem. Ja mieszkałem wtedy u teściów nad Motławą. Tam niedaleko baszty, na Warzywniczej, przy baszcie, w której mieszkał Zbyszek Cybulski i stamtąd miałem gdzieś trzy minuty takim szybkim krokiem do teatru Wybrzeże. Kiedy przyszedłem, wszyscy siedzieli tacy smutni, ale podnieceni bardzo, bo sytuacja była dramatyczna. Ale poszliśmy, żeby się upewnić, czy... Zresztą była taka sytuacja niesamowita, kiedy nagle dostałem telefon. Była taka sytuacja, jak ja nagle dostałem zawiadomienie z telewizji, że mam być... Zapisano mnie do ekipy dyżurnej, ale zaraz wieczorem ktoś przyjechał. Powiedział, że to nieważne. To nieważne, to pomyłka. Bo to były te osoby, które tam albo w mundurkach, albo jakoś występowały i reprezentowały, dyżurowały. Te osoby tam chyba nic nie robiły, ale tak że potem miałem tam z miesiąc wolnego w pracy, ale 1970 rok, to tak przeszedł.. Znaczący 1980 rok to tak obok mnie przeszedł. Bo o 1970 rok pytałeś. A, no właśnie, a tutaj...

Głos: 1970 rok.

Zbigniew Szymaniak: No, tak, to już stary człowiek jestem.

Głos: Dwa lata po 1968 roku.

Zbigniew Szymaniak: Tak.

Głos: I czy podobnie też zajmowanie się...

Zbigniew Szymaniak: Nie, podobnie było, dlatego, że ja byłem wtedy studentem i to taki byłem zaafekowany. 1970 rok. W 1970 roku byłem wtedy studentem i byłem taki właśnie... Wtedy... O, wtedy jeszcze była taka sytuacja, że mój ojciec umierał i ja byłem tak zaabsorbowany, tak tym przejęty, że to bardzo przeżywałem. Zresztą 1970 rok był jeszcze wtedy, pamiętam, mojej dziewczyny... Była taka dramatyczna sytuacja, kiedy nagle okazało się, że jej młodszy brat... Ja miałem wtedy... On był tam jakiś 12-latek, nagle gdzieś zaginął i rodzice ze łzami w oczach latali pod dworcem w Gdańsku. To w pobliżu Komitetu Wojewódzkiego, tego słynnego spalonego, biegali i szukali syna. Pamiętam, wtedy to już tak widziałem, nawet przechodziłem w tym tłumie ludzi uciekających, to tak, ale jeszcze nie byłem taki jakby ani odważny, ani taki, powiedzmy sobie, już, jak to powiedzieliby, politycznie dojrzały, żeby się tam w coś angażować. Teraz jest tak dużo ludzi, którzy tak wtedy strasznie dużo działali, aż mi się wierzyć nie chce.

Głos: Stwierdził pan wcześniej, że studenci w roku 1970, w grudniu 1970 roku stwierdzili, że nie poprą robotników. Kto tę decyzję podejmował i jak to wyglądało, i dlaczego?

Zbigniew Szymaniak: Nie. Nie wiem, nie wiem. Po prostu ja wiem tylko tyle, że to tak jak byliśmy w tłumie wszyscy tacy trochę wystraszeni, trochę... Przecież to z pierwszego roku, to tam myśmy byli 18-latkowie i teraz jak patrzę na studentów zresztą, to aż się dziwię, że to tacy młodzi ludzie, bo mi się wydawało, że ja wtedy jestem już stary byk, prawda? A teraz, kiedy jeszcze niedawno pracowałem na Politechnice, to jak widziałem tych ludzi, to myślałem, kto takich szczeniaków w ogóle na studia puszcza, a ja byłem taki sam wtedy. Więc to byliśmy młodzi ludzie. To naprawdę... Może teraz się szybciej dojrzewa. Jest era komputerów, Internetu i tak dalej, i tak dalej, i tak dalej. Wtedy, powiedzmy sobie szczerze, jeszcze takiej wiary w jakąkolwiek zmianę tego, co się dzieje w kraju, to nie wiem, to pukało się... W zasadzie trudno uwierzyć, żeby ktoś tak na poważnie wierzył w możliwości zmiany. Jacyś doświadczeni ludzie, duże umysły, ludzie, którzy tam cały czas gdzieś otrzymywali informacje, mocno osadzeni w jakiejś rodzinie takiej kombatanckiej, gdzieś, gdzie się to kulturowało. Może osłuchani, z uchem już takim przyklejonym do radia Wolna Europa, to oni jakieś nadzieje mieli, a tak normalnie myśmy byli tacy troszeczkę już ustawieni przez propagandę, przez szkołę, przez to wszystko. Jeżeli jakieś protesty, to są takie protesty młodzieńcze. Przecistawianie się wszystkiemu. Teraz przecież jest zupełnie inaczej, inny świat, a młodzież cały czas się przeciwko czemuś buntuje i tutaj się nic nie da zrobić tak po prostu, jeżeli będzie się robiło na siłę, że się będzie tak, powiedzmy, próbowało młodych ustawiać pod gusta starszych, to taki normalny młody człowiek zawsze będzie miał etap buntu. Zawsze będzie.

Głos: Czy ten brat pana dziewczyny odnalazł się?

Zbigniew Szymaniak: Odnalazł się. Brat się odnalazł. Wielka radość, ale tam w tłumie ludzi. Bo to już tak jest, wiatr historii wieje, gdzieś tam ludzie walczą zdesperowani, a jak to się dostanie w te tryby, to taki zdezorientowany lata, biega i cóż może. Ale to tam ja bym nie widział w tym nic takiego wielkiego. Wiem tylko tyle, że po prostu takie były czasy i po prostu trzeba było być człowiekiem takim zaangażowanym od początku, gdzieś rodzina musiałaby jakoś tak ustawić wszystkich. Wszyscy byli raczej tacy podporządkowani władzy. To naprawdę. Zresztą historia uczy nawet po późniejszych latach, że ludzie tak się... Naprawdę ciężko ludziom się zbuntować, kiedy nie widzą jakby dalej. To naprawdę... W KOR to też przecież tam było parę świątłych umysłów i grupa ludzi, którzy... Zresztą bardzo często ludziom się przypina łatki typu: nawiedzony, jakiś szalony, jakiś taki czy inny i to jest nawet prawda, że człowiek, wtedy, kiedy inni tego nie widzą, a on to dostrzega, to musi być takim szaleńcem Bożym troszeczkę. To musi być taki człowiek, który jest troszeczkę, odstaje od reszty. Bez obrazy niczyjej. To jest raczej komplement niż jakiś zarzut. Po prostu dzięki takim walniętym ludziom, w skrócie mówiąc, to coś się wyważy, jakieś drzwi, rozwala się jakiś mur. Tak myślę. Takie są moje przemyślenia teraz, ale przedtem to nie. Przedtem to żyłem z dnia na dzień i tak jak wszyscy, bałem się, czy coś się nie wydarzy złego, czy... Nie poszedłbym wtedy w tłum. W tłum szli młodzi ludzie, którzy czasami rzeczywiście szukali trochę rozróby, ale... Znacząco sporo było takich. Tak jak teraz się młodzi wyżywają gdzieś przy stadionach. A część z tych ludzi to są bohaterowie. Ale po prostu tak jest. Każda strona będzie miała korzyści z tego, że są tacy ludzie, którzy są bardziej energiczni, bardziej zadziorni, bardziej tacy niepoddający się, nie pozwalający sobie w kaszę dmuchać. Ale wśród tych ludzi, podejrzewam, że sporo potem dojrzało. Że zaczynali od takiego

po prostu pójdę i tego, a potem... Bo co z takimi zrobić? Taki poszedł albo na policjanta, albo z drugiej strony stał.

Głos: W latach 70. to z jednej strony koniec studiów, rozpoczęcie pracy zawodowej...

Zbigniew Szymaniak: 1973 rok.

Głos: ale cały czas jednocześnie pewnego typu funkcjonowanie w świecie muzycznym. Wspomniął pan o tym, że grał również z Wałami Jagiellońskimi. Do tej pory niekoniecznie pan uczestniczył, zaangażowany politycznie w wydarzenia, postrzegane bardzo często przez wielu jako opór. Natomiast piosenki Wałów Jagiellońskich, przynajmniej kilka tych piosenek, było traktowanych jako piosenki zakazane, piosenki, które były również pewnym symbolem właśnie tego oporu. Od chociażby „Hej, młoty do roboty”.

Zbigniew Szymaniak: No, tak, to...

Głos:

Jak pan postrzega ten okres i jaki miał znaczenie dla pana, jeżeli takowe miał?

Zbigniew Szymaniak: Miał. Ten okres, kiedy grałem z Wałami Jagiellońskimi, to było tuż po wygraniu przez nich Opolą, piosenką „Wars wita” i wtedy już oni mnie wynajęli jako... Mówię, grałem jednocześnie i w tym zespole dixielandowym, i z nimi. Jeździłem po prostu po Polsce i na koncerty. Do Krakowa na festiwal, gdzieś tam, gdzieś tam, gdzieś tam. Właśnie „Hej, młoty do roboty”, „Kombajn Bizon” i tak dalej. Piękny okres. Piękny okres, dlatego, że wtedy dopiero... Ja przedtem nie uczestniczyłem w ruchu klubowym, a teraz nagle uczestniczyłem. Z jednej strony jako muzyk taki jazzujący, z drugiej strony właśnie jako kabareciarz i to mnie strasznie budowało, reakcja ludzi. To nagle jakiś taki przełom we mnie nastąpił, że poczułem, że można ostro. Że można ostro. I może nie byliśmy takim kabaretem, który tak często zamykają, ale po prostu była walka z cenzurą. Były takie sytuacje, że gdzieś jesteśmy i mówią, że ten utwór możemy zagrać, a tamtego nie możemy. Oczywiście w końcu tam jakoś przy takich bisach poszło, ale bywały sytuacje, że był szlaban na coś tam. Wtedy poznałem też Jacka Kaczmarskiego. Na festiwalu był tam jurorem, więc to już potem go znałem bliżej rzeczywiście. Zaczęło mnie to wciągać. Znaczący zaczął mnie zasysać w takie towarzystwo już, które coś więcej widzi, niż poza tym, żeby pójść z dziewczyną za rękę do ogrodu i tam spacerować po parku. Już coś dostrzegałem. Aczkolwiek jeszcze może nie za dużo, ale w każdym razie w 1979 roku... To był 1979 rok, kiedy tam właśnie w tych Wałach Jagiellońskich uczestniczyłem w takich wydarzeniach. Potem zaraz, wkrótce potem był 1980 rok, potem były te, właśnie mówię, takie nasze występy w kabaretach takich innego rodzaju. To znaczący te dni Gdańska były czy tam Jarmark Dominikański. O, to był Jarmark Dominikański w 1981 roku, na przykład, i w 1980 roku, kiedy Paweł Lejman robił, pisał takie teksty literackie, nieżyjący już taki autor tekstów. I to aktorzy gdańskich teatrów przedstawiali na scenie, a myśmy tam z tyłu podgrywali jakieś tam dixilenty, też poprzebierani różnie. Raz za piłkarzy, raz za tych, raz za tamtych, a w tym czasie właśnie rozgrywała się ta gdańska rewolucja w Stoczni. Więc to było... Jakaś niesamowita atmosfera, niesamowity jakiś duch i ludzi, i w ogóle. To było cudowne. Potem oczywiście stan wojenny, który nas przybił, ale ja w tym czasie pracowałem w telewizji, więc to tak się od środka, od telewizji oglądało. To było to niesamowite, bo jechało się na przykład ciągle na jakieś zdjęcia gdzieś. Był taki

okres, że usilnie usiłowano do partii zapisywać ludzi. Idziemy na przykład gdzieś tam, nie wiem, to Starogard był czy jakieś inne miejsce. Nie, Kocborowo bodajże. I okazuje się, że będą przyjmować do partii. Będą przyjmować do partii, więc musimy jechać i pokazywać ludzi, których przyjmują do partii. Przyjeżdżamy, jakieś takie zamieszanie, „Niech towarzysze poczekać tam na zewnątrz”. Za chwilę wyprowadzili jakieś dwie kucharki i jakąś sprzątaczkę, bo udało im się tam złapać i odkryć, że one się tam maskują i jeszcze do tej partii nie należą. I tak ich tam w ten sposób zapisywano, ale piękna anegdota też z jednym z naszych kolegów dziennikarzy, Andrzejem Dziedzicem. Pojechalśmy na zdjęcia. On słynął z tego, że zawsze ludzi tak długo naprowadzał albo 15 razy dubler robił, żeby tak powiedział, jak ma powiedzieć. To znaczy może nie przekłamywał, ale wkładał w usta te teksty, bo one miały być tak zwarte, takie tego i stoimy pod jakimś tam... Kolejarz się zapisał do partii. I stoi trzech kolejarzy z boku, jego tam szef jakiś partyjny i tego, a ten biedny jakiś taki, chyba młotkowy taki, co chodzi i młotkiem stuka po tych torach, stoi biedny i ma powiedzieć jedno zdanie, że zapisałem się do partii, bo... I tam z 15 razy. Przy 15. dublu tłumaczą mu i on tak w pewnym momencie, zrezygnowany, tak taśma idzie, a to jeszcze tego, mówi: „Zapisałem się do partii...”, tak popatrzył, popatrzył, obrócił się i mówi: „No, dlaczego ja się zapisałem?”. Gdzieś tam, ktoś tam sobie w taśmach to zachował, ale mówi tak: „No, dlaczego ja się zapisałem?”. Więc były to... W ogóle absurdalne sytuacje, które pamiętamy do dzisiaj i teraz to się gładko opowiada. Wtedy też oczywiście była kupa śmiechu, ale były też takie i tragiczne rzeczy, kiedy zaraz, na początku stanu wojennego koledzy jadą też z kolegą Andrzejem do Strzebielinka, gdzie siedziało paru naszych ludzi, między innymi Andrzej Drzycimski, i tam sporo różnych innych osób. I nagle przychodzi polecenie, żeby tam... Ja nie byłem tam wtedy, był mój kolega Kasprowicz. Jak wiesz, znany ci kolega. Pojechali robić zdjęcia i była taka potrzeba, żeby tam coś wejść czy na siłę, czy kogoś filmować. I pamiętam, że Zbyszek mnie zaskoczył wtedy, bo się postawił. Powiedział, że on nie, że on tam bez pozwolenia czy bez tego, to w ogóle nie ma mowy. Andrzej oczywiście zrozpaczony, że zlecenie z Warszawy i jak nie zrobi, to może oberwie po uszach, że tego i... No, a ludzie wtedy potrafili się postawić. Inna sytuacja była kiedyś właśnie a propos takiego postawienia się, że ludzie potrafili powiedzieć „nie”. Pojechalśmy robić z tym moim świętej pamięci byłym szefem, co to właśnie mnie tak indoktrynował, próbował się dowiedzieć przeze mnie, czy Staszek napisał „Wrona skona”, czy nie. Ale pojechalśmy na takie zdjęcia, że złapali na Żabiance tam, w tych budynkach, gdzie teraz mieszka Andrzej Gwiazda, działała przez moment, takie były, przenośne stacje radiowe powstawały. Zakładano nadajnik, puszczano jakieś tam rzeczy z tego, policja przyjeżdżała, związała tam gdzieś na dachu, odkrywała, namierzyła i takie radio co chwila nadawało. I w pewnym momencie... A przypominam, że byłem wtedy muzykiem w klubie takim tym... Właśnie grałem w klubie muzycznym, już wtedy można było. W pewnym momencie jedziemy na zdjęcia szybko do jakiegoś mieszkania, gdzie jest kocioł. Wsiadamy, jedziemy, wchodzimy. Mamy się schować, bo czekamy na to, kto tam do tego mieszkania będzie pukał. A kto pukał, to go za wsiaż i do srocza, Tak wchodzę do tego srocza, patrzę, a tutaj znajome twarze z klubu. Jak mi głupio było. Od razu wziętem słuchawki, z tym magnetofonem zacząłem chodzić, żeby było widać, że ja tutaj nie taki. Śmiesznie było, ale też tak strasznie, ale mówię o tym dlatego, że pojechalśmy potem na Okopową, gdzie była siedziba SB i tam o dziwo nasz szef, taki trochę doświadczony, mówi: „No, to my tu zrobimy teraz tych tutaj podejrzanych przez tę szybę, co tutaj jest w pokoju przesłuchań”. A taki młody, brodaty człowiek, spokojnie powiedział: „Nie, nie ma mowy. Nie ma mowy. Nie macie prawa, nie macie to”. Przeciwwstawił się. Nie poszedł... Teoretycznie stanowiliśmy jedno. Mogli nas wpuścić, bo to wiadomo, aparat propagandy i tak dalej. Ten człowiek z SB się nam przeciwstawił. Po prostu powiedział, że on na żadne takie nie idzie. On postępuje tylko i wyłącznie zgodnie z tym regulaminem swoim, do którego został powołany. Nie zgadza się na żadne ukryte kamery, na żadne

takie nieeleganckie, powiedziałbym zachowania, jakieś rejestracje. I tutaj wtedy doświadczyłem takiego odkrycia, że tam też czasem ktoś ma jakieś, nie wiem, sumienie, nie sumienie. Trudno powiedzieć. Nie wiadomo, jaką drogą ten człowiek tam trafił. Nie wiadomo, jaką rolę tam spełniał. Może był takim po prostu od spraw bardziej... System był taki, że można było być w drogówce i być człowiekiem bez przerwy zaangażowanym w jakieś sytuacje burd ulicznych czy coś. To taka była prawda. To można być cywilem i też za chwilę wcielili, przypomnieli, że byłeś w ORMO i kazali człowiekowi wychodzić i tłumić bunty. Mieszkałem wtedy nad Motławą i pamiętam, że u sąsiada, bo to był taki budynek więziennictwa. Mój teść był pracownikiem więziennictwa. Też piękną kartę historii przeżył. Pewnego razu na Sylwestra nam zniknął, a bo żeśmy mu tak, pijąc wódeczkę, dogryźli. Wy tam, tego. On tak się obraził o to, że my go podejrzewamy o jakąś taką bliskość do władzy, chociaż był człowiekiem prostym i w zasadzie takim trochę wychowanym przez tę władzę, ale był porządny człowiek. I zniknął nam. Zniknął tak bardzo, że po trzech dniach znaleźliśmy go w areszcie, 200 metrów dalej, na Piwnej. Okazało się, że on się tak wkurzył na nas, zszedł na dół do piwnicy, wziął jakąś farbę, stoczniovą taką minię czy coś tam, to się tam smaruje, żeby nie było rdzy. Poszedł pod pomnik wolności, jakiś tam niedaleko, namazał: „Polska walczy” i potem pijanym krokiem przeszedł aż prawie tam pod te trzy krzyże. To kawał drogi od Motławy tam. Wzdłuż delikatesów, na przeciwko NOT-u i wszędzie pisał to „Polska walczy”. To go tam zhaltowali, oberwał. Zanim się tam więzienie o niego nie upomniało, spokorniał strasznie, ale bywały i takie sytuacje. Takie z ludzi wychodziły jakieś dziwne rzeczy, ale to jest tak jak z balonikiem nadmuchanym. Jak się dziurka zrobi, on pęka. To już się nie załata. Nic nie zrobisz. Więc władza już nie miała szans. Stan wojenny przedłużał tylko tę jej agonię. Może się po prostu przygotowywała rzeczywistość, jak twierdzą zwolennicy okrągłego stołu, przeciwnicy okrągłego stołu, do tego, żeby oddać władzę, żeby to wszystko jakoś tak gdzieś sobie wygodnie wylądować. Może tak, ale już nikt wiary w to, żeby to się uchowało, to już nie było. To już nie było tej wiary. To się czuło, jeździło się na zdjęcia, spotykało jakichś sekretarzy, Fiszbach na przykład był takim człowiekiem, który tam prywatnie czy gdzieś, miał bardzo dobrą opinię w Gdańsku jako człowiek taki postępowy, jeżeli można powiedzieć. Bo to nie było wtedy... Wtedy się używało takich słów jak frakcja postępową, beton, to, tamto. Teraz po prostu są różne partie. Czasami dość bliskie siebie, ale różne. A przedtem to po prostu były takie różne betony, takie czy inne, czy różne takie postaci. Tak że to był okres... I wtedy ci sekretarze nieraz tam po zdjęciach zapraszali nas do siebie i tam nam dopiero tłumaczyli, że to tak, co powiedzieli przed chwilą, to tak było do kamery, ale tak naprawdę to oni są z nami, bo oni wierzą, że naprawdę to wszystko nie ma sensu. To było takie... Potem może oczywiście, po okrągłym stole, jak nastąpiła nasza demokracja, to być może ci ludzie zaczęli już się potem ponownie jednoczyć, w momencie, kiedy okazywało się, że po prostu... Jakby, kiedy jest akcja na nich, kiedy jest jakiś tam napór na nich, kiedy nie ma jakiegoś takiego... Zaczynają się bronić, bo widzą, że tak: faktycznie są zawsze dwa sposoby, albo się wszystkim wszystko daruje, albo się kogoś tnie i wtedy także i ci tacy mniej winni lub takie ofiary troszeczkę, albo tacy koniunkturaliści, ale niegroźni, też na tym tracą. Więc zawsze na coś się trzeba zdecydować, tylko, że darować, to z kolei... Właśnie mój były szef, Lech, twierdził, że ludzi dzielimy na aktywnych i nieaktywnych, a tych aktywnych na przygotowanych i nieprzygotowanych, więc człowiek aktywny to jest ten, który będzie kandydował, będzie się pchał, będzie chodził z listami, będzie mówił: „Głosujcie na mnie”. Są ludzie aktywni i założę się, że trzy czwarte z nich to są ludzie, którzy myślą tak naprawdę o sobie, a nie o jakichś tam ważnych sprawach. Tak że to jest dylemat, który nas będzie, że tak powiem, dotyczył, z którym się spotykamy na co dzień i będzie stały dylemat, bo tak naprawdę nie wiemy, co komu w duszy gra i czy ten ktoś naprawdę żałuje czy nie żałuje. Jesteśmy skazani na... Jak kiedyś się mówiło „Skazani na sukces”, to my jesteśmy skazani na tę niepewność, że można komuś chcemy wybaczyć, może on jest

w porządku, a może kogoś krzywdzimy przez to, że go tak od razu skreślamy, że nie pozwalamy uwierzyć, że nie wierzymy mu, że on się zmienił. To jest straszne, ale chyba nie ma innej drogi, teraz, jak widzę, żeby... Jak droga poprzez jakąś taką... Wina i kara, no. Mam nadzieję, że to da się jeszcze ten węzeł jakoś rozwiązać, bo teraz, kiedy faktycznie wszystko jest takie zagmatwane, kiedy ciągle ludzie nie wierzą nawet w tajemnicę państwową. Kiedy ludzie ciągle zaczynają tracić wiarę w polityków, kiedy tracą wiarę we wszystko dosłownie, co się da. Kiedy tu się okazuje, a tu ksiądz, a tu biskup, a tu ten, a tu tamten i wszyscy niewinni. Wszyscy niewinni. Ja nie spotkałem jeszcze człowieka, może za wyjątkiem pana Olechowskiego, który od razu powiedział, że pracował i tam jeszcze paru innych osób. Po prostu wszyscy są niewinni. Wszyscy po prostu, no, gdzie nas, co, jak. Ja mam to szczęście, że nikt mnie nie postawił pod ścianą i nie kazał mi nic podpisywać w życiu ani... Naprawdę bym się bardzo zdziwił, gdyby się okazało, składając deklarację o swojej niewinności, gdyby się okazało, że gdzieś ktoś tam coś usiłował. Wtedy zacząłbym wierzyć tym ludziom, którzy mówią, że nie wiedzieli, co czynili albo że nie wiedzieli, że ktoś ich tam gdzieś zapisał i zakwalifikował. Ale po prostu dziękuję Bogu, że nie musiałem być, stanąć przed takim dylematem. Niektórzy niestety byli słabi i nie wytrzymali, ale ja ich nie będę osądzał, bo to nie ma sensu.

Głos: W latach 80. pracował pan w telewizji?

Zbigniew Szymaniak: Tak.

Głos: Po stanie wojennym również. Była to właściwie główna tuba propagandowa systemu.

Zbigniew Szymaniak: Była.

Głos: Czy pan uczestnicząc w przygotowaniu materiałów, mógłby wskazać, które tematy bądź jakie nastawienia dominowały? Czego oczekiwano? Bo pewne tematy były zadaniowe. Na co zwracano uwagę w tym momencie i czego oczekiwano?

Zbigniew Szymaniak: To zależy, jaka tam, można powiedzieć, frakcja akurat była górą w tej partyjnej rozgrywce. Bo niektórzy po prostu to byli ludzie, którzy usiłowali, powiedzmy, na przykład taką... Pryncypia były ważne, żeby ludzie się deklarowali, żeby się zapisywali do partii, na ilość, na to składali. Były takie początkowo sytuacje w stanie wojennym, że jechało się na jakieś zabranie, a tam ktoś wychodził i wołał, że my tu tych nauczycieli to musimy tego i tak z tej trybuny, jak za starych jeszcze, filmów znanych, czasów pokrzykiwali. Ale ogólnie w telewizji był nacisk na to, żeby... W pewnym momencie, żeby tak trochę, tak jak to się mówi, tak jak stara się ktoś podlizywać młodym ludziom, że zaczyna mówić ich językiem, że ich poklepuje po plecach, że robi im koncerty. Przecież te koncerty rockowe, był wtedy tam taki okres, że było tego dużo. Potem prawdopodobnie tego żałowano, bo te koncerty stały się też miejscem, że te rockowe zespoły tam ostro poczynały sobie, imprezy sportowe zrobiły się takie trochę niebezpieczne, bo też masa ludzi występowała, potem imprezy religijne. Spotykałem się z takimi sytuacjami, że ktoś na przykład usiłował tak wychodzić przed szereg. To było najgorsze, że jacyś dziennikarze wychodzili przed szereg i tak sami wymyślali: „A może byśmy zrobili tematy o kościołach? A może jakie duże kościoły się buduje?”. Kiedy byłem potem w Warszawie u Wałęsy, to zetknąłem się z takim zdaniem, z taką opinią ludzi, którzy tam pracowali, że w pewnym momencie

w Warszawie zlecono, powiedzmy, tym architektom, żeby właśnie dawać zezwolenia i budować, i projektować tylko olbrzymie kościoły. Bo to tak jakby źle wygląda. Zakłada się, że w dużym kościele jest nieprzytulnie, że duże kościoły to proszę bardzo, oni mówią, że nie budujemy kościołów, a popatrzcie, jakie wielkie kościoły powstają. I tak dalej, i tak dalej. Tylko, że nie pomyślano o tym, że w Polsce te kościoły można, czy dadzą się zapełnić. I one się dały zapełnić. I stały się takim miejscem, gdzie przychodziło kilka tysięcy, kilkanaście tysięcy osób i tutaj się towarzysze na tym przewieźli, że właśnie te kościoły nie były puste. Ale założenie było proste, łatwo powiedzieć: „Popatrzcie, jakie duże powstają przy kościołach zakrystie. Kościół taki, a tu taka zakrystia”. Nie brali pod uwagę, że ten kościół, plany były takie, żeby tam przy tym kościele powstało życie parafialne, żeby była biblioteka, żeby się młodzieżą zająć, żeby były katechetyczne sale, bo wtedy nikt nie marzył przecież o tym, żeby w szkołach była katecheza. Ale to zawsze tak gdzieś kombinowano. Wydawano nawet mapy. Przecież ja pamiętam, że były mapy, na których się nawet pisało „Mapy wyznań polskich”. I było napisanych tam kilkadziesiąt, gdzie kilkanaście to były wyznania typu: „Dwa mieszkania w Szczecinie na jakieś tam ulicy, na piątym piętrze”. Wyznanie. 16 osób, coś tam wymyślili i to się nazywało, że to jest taki jakiś religijny pluralizm, czyli, że ludzie, wiecie, nie musicie być koniecznie katolikami ani chrześcijanami, bo przecież patrzcie, ile pięknych wyznań jeszcze jest. Były próby przecież wprowadzenia do szkoły, tak jak na uczelni propedeutyki, filozofii. Jakieś takie różne inne. Chodziło tylko o to, żeby pokazać, żeby stworzyć taki zamęt w głowie, żeby pokazać, że nie tylko to, co z kościoła wyniosłeś, co tam w domu cię nauczyle, ale popatrz. Popatrz jeszcze tu, jeszcze tu, jeszcze tu. Jeżeli człowiek nie jest uformowany, to naprawdę, niedojrzały, to jest wyzwanie. To jest próba charakteru, próba sił. Ale był taki okres, że właśnie stawiano na młodzież, starano się ją jakoś przeciągnąć, zwerbować na swoją stronę. Tak to wyglądało.